

NOWA POWIEŚĆ AUTORKI BESTSELLERÓW **DELIRIUM** I **7 RAZY DZIŚ**

LAUREN
OLIVER

REPLIKA
GEMMA

DWIE DZIEWCZYNY
DWIE HISTORIE
JEDNA ZAPIERAJĄCA DECH
W PIERSIACH POWIEŚĆ

moondrive

LAUREN
OLIVER

REPLIKA

tłumaczenie Monika Bukowska

moondrive
Kraków 2017

Tytuł oryginału: *Replica*

Copyright © 2016 by Laura Schechter

Copyright © for the translation by Monika Bukowska

Opieka redakcyjna: Agnieszka Urbanowska

Opracowanie typograficzne książki: Daniel Malak

Adiustacja: Anna Brynkus-Weber / d2d.pl

Korekta: Alicja Listwan / d2d.pl,

Katarzyna Gniewko / d2d.pl

Łamanie: Małgorzata Poździk / d2d.pl

Projekt okładki: Eliza Luty

Fotografie na okładce:

dziewczyna z rozpuszczonymi włosami – © Aleshyn_Andrei / Shutterstock.com,

dziewczyna z krótkimi włosami – © Oleg Gekman / Shutterstock.com

ISBN 978-83-7515-447-4

moondrive

www.moondrive.pl

Dystrybucja: SIW Znak. Zapraszamy na www.znak.com.pl

Wydawnictwo Otwarte sp. z o.o.,

ul. Smolki 5/302, 30-513 Kraków. Wydanie I, 2017.

Druk: Grafarti s.c.

Od autorki

Chociaż w książce niejednokrotnie występują identyczne dialogi, przedstawiane zarówno z perspektywy Gemmy, jak i Liry, czasami znajdziecie też drobne różnice w rozłożeniu akcentów. Jest to zabieg celowy, służący uwypukleniu odmiennych punktów widzenia bohaterek. Każda ma własną wizję rzeczywistości, z którą wchodzi w interakcję ze światem i która tym samym oddziałuje na jej doświadczenia, podobnie jak obserwacja rzeczy wpływa na zachowanie samej rzeczy.

Drobne różnice w powieści odzwierciedlają przekonanie, że nie istnieje coś takiego jak obiektywny ogląd zdarzeń. Nie ma dwóch ludzi, którzy postrzegają daną sytuację dokładnie w ten sam sposób, o czym może zaświadczyć każdy, kto kłócił się z bliską osobą. Z tej perspektywy naprawdę stajemy się twórcami własnego doświadczenia. A prawda przypomina tworzenie fikcji.

GEMMA

Ucieczka – właśnie o tym marzyła Gemma, szczególnie w nocie takie jak ta, kiedy duży i jasny księżyc przypominał filmową dekorację zawieszoną za jej oknem na zasłonie czarnego nieba.

W filmach nastolatki zawsze wymykały się z domu. Czekały, aż rodzice położą się spać, a wtedy wysuwały się spod kołdry, już w ubraniu – w mini i obcisłych topach – zjeżdżały w dół po poręczy, otwierały drzwi i pyk! Już ich nie było, tak jak balonów, które zbyt mocno ściskane wyslizgują się z rąk.

Tyle że inne nastolatki, jak domyślała się Gemma, nie miały Rufusa, prawie stukilowego retrievera, który był szczekającą górą futra.

– Ciii – syknęła, gdy powitał ją na dole schodów.

Podskakiwał i biegał w kółko jak szalony – cud, że się nie przewrócił.

– Wszystko w porządku?

Była na nogach zaledwie od minuty, a jej mama już stała na górze i spoglądała na nią zmrużonymi oczami pozbawionymi soczewek kontaktowych, ubrana w stary podkoszulek z Harvardu i spodnie od dresu.

– Nic mi nie jest, mamó. – Gemma wyjęła szklankę z szafki. Nigdy nie udało by jej się wymknąć z domu. Zresztą nie miała dokąd się wymykać i z kim, bo April, jej najlepszą przyjaciółkę, trzymano na tak samo krótkiej smyczy.

Mimo to przez chwilę wyobrażała sobie, że jest w połowie drogi do drzwi, ubrana w ciasne džinsy i koszulkę podkreślającą biust – jedyną część ciała, którą u siebie lubiła – po to, by po opuszczeniu domu wskoczyć do samochodu swojego chłopaka, zamiast stać w piżamie w ciemnej kuchni o dwudziestej trzeciej w środowu wieczór, będąc lizaną przez Rufusa.

– Chciałam się tylko napić wody.

– Odwodniłaś się? – Ton mamy sugerował śmiertelne zagrożenie.

– Nic mi nie jest. – Gemma wracała po schodach na górę, grzechocząc kostkami lodu w szklance, i celowo unikała wzroku matki. – Wracaj do łóżka, okej?

Jej mama, Kristina, się zawahała.

– Daj mi znać, jeśli będziesz czegoś potrzebować, dobrze?

– Mhm. – Gemma zatrzasnęła drzwi sypialni przed nosem Rufusa, nie przejmując się tym, że w tej samej chwili zaczął skomleć. Postawiła szklankę na stoliku nocnym i rzuciła się z powrotem na łóżko. Blask księżycy tworzył na jej gołych nogach mozaikę ze światła i cienia. Przez chwilę próbowała sobie wyobrazić, co w tej chwili robią Chloe DeWitt i Aubrey Connelly. Zawsze mówiono jej, że ma bujną wyobraźnię, ale to akurat ją przerastało. Jak to jest być całkowicie i bezlitośnie normalną, tak do szpiku kości? O czym one myślały? Jakie miały problemy? Czy w ogóle miały jakieś problemy?

Rufus ciągle skomlał. Gemma wpuściła go do pokoju i westchnęła, gdy wskoczył na łóżko i usadowił się dokładnie na środku jej poduszki. I tak nie chciało jej się spać. Siadła przed toaletką należącą do jej matki – bogato zdobionym wiktoriańskim antykiem – którą uwielbiała, gdy była mała. Nie miała odwagi powiedzieć Kristinie, że toaletka już jej się nie podoba. W ogóle nie potrafiła powiedzieć rodzicom wielu rzeczy.

Spojrzała w lustro. W świetle księżycy jej oczy wyglądały jak dwie ciemne jamy, a skóra robiła wrażenie niemal przezroczystej. Gemma zastanawiała się, czy właśnie tak zawsze postrzegali ją

rodzice: jako istotę po części nie z tego świata, zawieszoną gdzieś między tym życiem a następnym.

Ale już nie chorowała. I to od lat, od kiedy przestała być dzieckiem. Mimo to wciąż traktowali ją tak, jakby nagle coś miało ją zdmuchnąć – niczym domek z kart, który mógł się zawalić od najłżejszego powiewu wiatru.

Sama ledwie pamiętała lata choroby: szpital, operacje, kuracje. Okres wracania do zdrowia, jak mówił jej lekarz. „Nabywania odporności”.

Miała za to w pamięci ogród. I pomnik. Przedstawiał kłęczącego boga – przynajmniej tak jej się wydawało, choć nie miała pewności – z jedną ręką podniesioną ku niebu, a drugą sięgającą w dół, jak gdyby miał wyciągnąć z ziemi coś zaczarowanego.

Gemma była chyba jedyną szesnastolatką z nadwagą w całej historii Stanów Zjednoczonych, która załowała, że nie może ćwiczyć na wuefie. Co innego, gdyby mogła sobie w tym czasie pójść do czytelnicy albo mieć okienko. Ale z powodu „ograniczeń rozkładu zajęć” (oficjalny powód) lub, jak podejrzewała Gemma, w wyniku wrodzonego sadyzmu pani Vicke, wicedyrektorki, zmuszono ją do chodzenia na lekcje wuefu, siedzenia na trybunach i udawania, że coś robi, podczas gdy reszta koleżanek biegała po skrzypiącym linoleum sali gimnastycznej albo po mokrym boisku do piłki nożnej.

Na trybunach nie było gdzie się ukryć. Czuła się, jakby była błyszczącą tablicą z napisem „Ja tu nie pasuję”. Do tego pani Coralee, nauczycielka wuefu (również sadystka – szkoła była ich pełna), kazała Gemmie przebierać się w marszczone nylonowe szorty i koszulkę na szelkach, które cała klasa musiała nosić, a które jeszcze bardziej podkreślały, jak Gemma tu nie pasowała – równie dobrze mogłaby nosić strój narciarski na plaży.

– Szcęściara z ciebie – odezwała się w drodze do szatni April Ruiz, najlepsza przyjaciółka Gemmy, odgarniając z oczu czarny lok. – Jestem prawie pewna, że gra w dwa ognie została wymyślona przez tych samych ludzi, którzy wynaleźli termometry doodbytnicze albo wełniane rajstopy.

– Ruchy, kluchy, Frankenstein. – Chloe DeWitt dźgnęła Gemmę mocno łokciem w miejsce, gdzie powinna mieć talię, ale był tam tylko wałek tłuszczu. Gemma pewnie miała dwadzieścia kilo przewagi nad Chloe, ale tamta była koścista i umiała zrobić z tego użytek. – Nie wszystkie mamy możliwość wcinania słodyczy przez całą lekcję.

Gemma się zaczerwięła. Nigdy, przenigdy nie jadła na lekcji. Rzadko nawet jadała na stołówce, żeby Chloe i dziewczyny jej pokroju nie miały okazji się z niej nabijać. Ale to nie było ważne. Już w dzieciństwie Chloe wyznaczyła sobie misję, by ciągle przypominać Gemmie, że jest dziwadłem. W trzeciej klasie wymyśliła przezwisko „Frankenstein” – po tym, jak Gemma przeszła drugą operację serca, po której została jej gruba blizna od piersi do pępka. Od tamtej pory Gemma przebierała się tylko w kabinach w łazience, ale i tak już nikt poza April i nauczycielami nie nazywał jej inaczej.

Nie mogła tylko zrozumieć jednego: dlaczego – skoro była taka delikatna, jak powtarzali jej rodzice („Jesteś taka delikatna, Gemmo, dlatego musisz na siebie uważać”, „Nie ma mowy o rollercoasterze, Gemmo, twoje serce jest takie delikatne”) – nie mogła wyglądać delikatnie, jak te filigranowe kryształowe zwierzątka z nogami chudymi jak patyczki, które kolekcjonowała jej mama i trzymała w przeszklonej witrynie. Jak Chloe, której skóra błyszcząca opalenizną niczym polakierowana, która wydawała się misternie wyrzeźbiona i przypominała dobrze nastrojony instrument. Jak gdyby wyszła spod ręki boga, który miał oko do detali, podczas gdy Gemma została niedbale uklepana przez jakiegoś pijaka.

– Tak – wymruczała, gdy Chloe i dziewczyny z jej bandy zebrały się roześmiane przy umywalkach. – Szczęściara.

– Nie pozwól, żeby Cruella zepsuła ci nastrój – powiedziała cicho przyjaciółka. – April zawsze stawała po jej stronie. Wiele lat temu stwierdziły, że albo są dwiema kosmitkami w szkole pełnej ludzi, albo dwiema przedstawicielkami rodzaju ludzkiego

w szkole pełnej kosmitów. – Ktoś zapomniał dać jej poranny zastrzyk ze środkiem uspokajającym.

April i Gemma poczekały, aż Chloe i jej zgraja wilczyc – ksywka będąca czymś więcej niż metaforą, ponieważ Gemma była prawie pewna, że Aubrey Connelly ma siekacze spiłowane na ostro, i wcale nie zaskoczyłoby jej, gdyby się okazało, że lubi smak ludzkiego mięsa – przebiorą się, zanim same to zrobiły. Obie spóźnią się na godzinę samodzielnej nauki i będą musiały wysłuchać kolejnego kazania pana Rotema. Ale wszystko było lepsze niż przebieganie się ze zgrają wilczyc.

– Mam dobre wieści – oznajmiła April, kiedy szatnia wreszcie opustoszała. – Moja mama w końcu poddała się w sprawie Zielonej Landary. Powiedziałam jej, że to szalenie niebezpieczne przejechać tą bestią sto kilometrów, a co dopiero tysiąc. Niezła strategia, co? Użyłam jej własnej argumentacji przeciwko niej.

– I tak zwierzyna łowna stała się myśliwym – rzekła Gemma głosem ze zwiastunów filmowych.

Czasami miała wrażenie, że jej ulubioną częścią tygodnia było siedzenie na drewnianej ławce za kabinami prysznicowymi, nieużywany od dwudziestu lat, i rozmawianie z April, kiedy ta myła twarz i żmudnie poprawiała makijaż, choć w rezultacie wyglądała tak, jakby była nieumalowana. Jak gdyby znajdowały się wtedy w swoim własnym bezpiecznym świecie. Nie tym, który stworzyli dla niej rodzice. W świecie, który sama wybrała.

– Coś w tym stylu. W każdym razie pojedziemy na Florydę naszym własnym lexusem. Dasz wiarę? Mój brat jest strasznie wkurzony.

Nie licząc jej własnych, rodzice April byli najbardziej nadopiekuńczymi ludźmi, jakich Gemma знаła. Żadna z nich nie mogła się umawiać na randki – nie żeby to miało znaczenie, skoro nikt nie chciał się z nimi umawiać. Lista rzeczy, których nie mogły robić, zawierała wśród wielu pozycji: 1) chodzenie spać po dziesiątej wieczór, 2) udział w jakichkolwiek imprezach szkolnych czy dyskotekach, chyba że odbywały się w dużej grupie samych

dziewczyn, co wykluczało je na wstępie, bo – nie licząc siebie – nie miały przyjaciółek, 3) jeżdżenie do Raleigh, stolicy stanu, o ile starszy brat April nie robił za przyzwoitkę, 4) korzystanie z Instagramu.

Gemma była pewna, że nawet gdyby miała metr osiemdziesiąt i wyglądała jak supermodelka, absurdalne poglądy jej rodziców na media społecznościowe („To niszczy mózg! Fatalnie wpływa na samoocenę!”) i tak zapewniłyby jej miejsce na samym dole hierarchii dziobania. Była też pewna, że gdy matki jej i April spotkały się po raz pierwszy, urządziły sobie burzę mózgów, żeby znaleźć jeszcze bardziej niedorzeczne sposoby na to, by zapewnić obu dziewczynom bezpieczeństwo, brak innych przyjaciół i wyjątkowo żałosne życie.

Połowa uczennic przedostatniej klasy postanowiła spędzić wiosenną przerwę w Miami, ale Gemma darowała sobie błaganie rodziców, by pozwolili jej tam jechać. Wiedziała, że ma na to takie same szanse jak na zostanie pierwszą kobietą prezydentem Stanów Zjednoczonych... w wieku lat szesnastu. Poza tym wcale nie chciała spędzać wolnego czasu, wpadając na tych samych prześladowców, których starała się unikać w szkole.

Ale April – która była nie tylko ładniejsza, mądrzejsza i miała dużo bardziej optymistyczne podejście do życia niż Gemma, do tego stopnia, że gdyby nie były absolutnie najlepszymi przyjaciółkami do grobowej deski, współkosmitkami i wyrzutkami społeczeństwa, Gemma by nią gardziła – tak łatwo się nie poddała. Błagała swoich rodziców. Płakała. Stroiła fochy – co było dosyć ryzykowne, bo jej mama, Angela Ruiz, słynna prokurator stanowa, była znana z tego, że wzbudzała w dorosłych mężczyznach taki lęk, że przyznawali się do winy na pierwszych przesłuchaniach. (A jej druga matka, Diana, była programistką komputerową, która jako dwudziestolatka wygrała kilka turniejów kick-boxingu).

I wtedy zdarzył się cud. April wypowiedziała magiczne słowo: „seksizm”.

To jest czysty seksizm – twierdziła – że jej starszemu bratu Ryanowi pozwolono pojechać na przerwę wiosenną ze znajomymi. To jest seksizm, że może jechać lexusem, podczas gdy jej przypadła Zielona Landara, stare jasnozielone kombi. I mimo że Ryan był dwa lata starszy, a lexus był prezentem za to, że dostał się na Harvard z wcześniejszego naboru, niespodziewanie jej matki wyszły z kontrpropozycją: April i Gemma mogą wziąć nowy samochód i pojechać na tydzień do Bowling Springs na Florydzie, gdzie mieszkali dziadkowie April.

Co więcej, przekonały rodziców Gemmy, że to dobry pomysł.

I owszem, może pobyt w miejscu znanym z randek dla seniorów i cotygodniowych wyczynowych turniejów badmintonu nie był dokładnie takim sposobem spędzenia przerwy wiosennej, o jakim marzy każda nastolatka, ale było to lepsze niż nic. Mogły tam zostać przez całe dziewięć dni, pluskać się w basenie, chodzić na tenisa albo jeździć na plażę. Mogły pić bezalkoholowe piña colady i próbować smażonego aligatora w lokalnych knajpkach. A do tego będą miały dom dla siebie przez całe trzy dni, kiedy to dziadkowie April mieli wyjechać na jakieś dziwne odosobnienie pod hasłem pozytywnej wizualizacji połączone z ćwiczeniami jogi i nauką głębokiego oddychania – drobny szczegół, który udało się Gemmie zataić w rozmowach z rodzicami.

Omawianie z najlepszą przyjaciółką planów wyjazdowych sprawiło, że Gemma wreszcie poczuła się jak normalna amerykańska nastolatka, jak z czasopism, jak z piosenek country. Do tego stopnia, że nie była pewna, czy rzeczywiście chce tam jechać, bo mogłyby o tym rozmawiać bez końca.

April podskoczyła i z pomocą różnych ewolucji wbiła się w dzinsy. Często powtarzała, że chciałaby być chuda jak rurka z kremem. Gdyby wybrać określenie z tej samej kategorii dla Gemmy, byłaby pączkiem.

- Wpadnę po ciebie w sobotę o ósmej rano, okej?
- Okej – odparła Gemma.

Umówiły się na sobotę 19 marca o ósmej rano już parę tygodni temu, ale potwierdzały to codziennie. Czemu by nie? Była to pierwsza namiastka przygody w życiu każdej z nich, nie licząc wkładania na Wielkanoc pianek cukrowych do mikrofalówki i obserwowania, jak wybuchają.

Gemma tak bardzo chciała się czuć podekscytowana. Gorąco pragnęła, by ostrzeżenia rodziców sączone przez lata nie przedarły się jak wirus do jej komórek, żeby się tam rozmnożyć. Marzyła o tym, by choć trochę nie być przerażoną. Powtarzała sobie, że nic się nie stanie. W końcu nic nigdy się nie działo.

3

Oto lista wszystkich problemów zdrowotnych, które miała Gemma od urodzenia:

GEMMA
18
LIRA

1. Dwie złamane kości piszczelowe.
2. Jedno zapadnięte płuco.
3. Wrodzona wada serca.
4. Zapalenie płuc.
5. Poparzenie sumakiem jadowitym (na pośladvach, jakżeby inaczej).
6. Następne zapalenie płuc.
7. Złamanie nadgarstka.
8. Niedoczynność tarczycy.
9. Zapalenie płuc po raz trzeci.

A oto lista schorzeń, które ją ominęły:

1. Dżuma.
2. Choroba, która sprawia, że człowiek zawsze jest chudy – nieważne, ile je.

Raz na jakiś czas, gdy Gemma zbliżała się do ogromnej żelaznej bramy otaczającej ich posesję, miała przeblysk pewnej wizji – nie wspomnienie jako takie, ale raczej wrażenie podobne

do tego, gdy człowiekowi przyjdzie na myśl piosenka, którą słyszał tylko raz. Widziała w niej wysokie ogrodzenie, zagubione gdzieś w dzikiej płataninie gorączkowych snów, które tak często nawiedzały ją w dzieciństwie – wysokie ogrodzenie oraz ogromny posąg męczyzny klęczącego na ziemi i sięgającego po coś, jakby jednocześnie do nieba i do piekła.

Podjazd miał dokładnie czterysta metrów długości. Gemma wiedziała to, ponieważ kiedyś poprosiła mamę, by to zmierzyła w samochodzie. Dzielił on na pół ogromny trawnik ozdobiony starymi świerkami i kwitnącymi dereniami. W dni, kiedy April zostawała na ćwiczenia chóru, przejażdżka autobusem i wędrówka czterysta metrów wzdłuż podjazdu były dużo lepszym wyjściem niż czekanie, aż przyjedzie po nią szofer taty, co wiązało się z wystawianiem w punkcie postojowym dla uczniów, na który był pełny widok z boiska dla najstarszych roczników, a to z kolei stanowiłoby milczące przyznanie, że ma tylko jedną koleżankę mogącą ją podwieźć.

Poza tym właściwie była to jedyna aktywność fizyczna, której się oddawała. W pogodne dni specjalnie szła wolno, żeby przedłużyć tę chwilę i rozkoszować się zapachem frezji i wiciokrzewu oraz słuchać cichego brzęczenia komarów zbitych w chmarę w cieniu.

Dzisiaj jednak szła szybko, zbyt zajęta myśleniem o sobocie (to już pojutrze!) – o czekającej je dziesięciogodzinnej podróży, o prawdziwej przygodzie ze swoją najlepszą przyjaciółką – by docenić uroki pięknego dnia. Za sprawą tych wszystkich drzew i krzewów oraz kąta nachylenia podjazdu dopiero gdy znalazła się niemal tuż przed tarasem wejściowym, zauważyła stojące przed domem dwa wozy policyjne, z których jeden miał otwarte drzwi, jakby policjanci nie zamknęli ich z powodu zbytniego pośpiechu. Jej mama rozmawiała z jednym z nich, trzymając się za szyję.

„Tata”, pomyślała Gemma i mentalnie rzuciła się biegiem, choć plecak obijał jej się o plecy.

– Gemma! – Kristina odwróciła się, gdy córka stanęła przy niej zdyszana, z potem zebrany pod pasem dżinsów i ciekącym

wzdłuż kręgosłupa. Wyciągnęła ręce i chwyciła Gemmę za ramiona. – Co się dzieje? Wszystko w porządku?

Gemma wpatrywała się w nią ze zdziwieniem.

– Co masz na myśli, pytając, czy wszystko w porządku? – Wskazała na radiowoz i policjanta, który stał nieco z boku z rękami na biodrach i w okularach przeciwsłonecznych i wpatrywał się w niebo, jak gdyby zastanawiał się, czy stojąc w ten sposób, uda mu się opalić. – O co chodzi?

– Och – westchnęła głośno Kristina i puściła Gemmę. – To? Nic takiego. Bzdura. Jakiś głupi dowcip.

Gemma zdążyła już zauważyć, że jedna z ogromnych szyb w przeszklonych drzwiach jest rozbita, jak gdyby ktoś cisnął w nią czymś ciężkim. Spozrzęła w salonie drugiego funkcjonariusza, który stąpał delikatnie po chrzęszczącym szkłe. Za chwilę wyłoniła się jeszcze jedna policjantka, w rękawiczkach, trzymając w dłoniach coś, co wyglądało jak grudkowaty kamień w dziwnym zielonym odcieniu. Ale gdy to obróciła, by pokazać koleźce, Gemmę dosłownie zmroziło. To był nie kamień, ale halloweenowa maska Frankensteina zszyta przy szyi. Musiała być ciężka, sądząc po sposobie, w jaki kobieta ją trzymała. Na pewno wypełniono ją czymś, co nadawało jej kształt.

– O mój Boże. – Gemma czuła, jak krew pulsuje jej w skroniach.

Chloe. Ta chora jędza. Skupiła się na logicznym myśleniu, żeby się nie rozplakać. Jak to się stało? Jakim cudem Chloe przyjechała tu szybciej niż autobus? Czy mogła przebiec na przelaj ostatni przystanek? Nie. Gemma widziała ją, jak wsiadała do samochodu Aubrey. I w jaki sposób przedostały się przez bramę? Cała posesja była ogrodzona. Mimo to wiedziała, że Chloe i Aubrey są za to odpowiedzialne, dałaby sobie głowę uciąć.

Frankenstein. Zniekształcony potwór.

– Wszystko dobrze, Gem. Wszystko jest dobrze – powiedziała Kristina piskliwym głosem, jak gdyby sama w to nie wierzyła. – Nikomu nic się nie stało.

Po tych słowach Gemma poczuła się jeszcze gorzej. „Nikomu nic się nie stało”, a więc komuś mogło coś się stać. A jeśli mama byłaby wtedy w salonie? Oczywiście było to mało prawdopodobne. Nawet jeśli dom – Château Ives, jak nazywała go April, co było tylko po części żartem – mógłby pomieścić armię w czasie wojny, jej mama nigdy nie była nigdzie poza swoją sypialnią, kuchnią, studium jogi na dole i łazienką, jak gdyby kontrolowana przez siłę odśrodkową, która kazała jej krążyć między tymi czterema miejscami. Ale co, gdyby ich koty Ender i Bean leżały pod sofą? Co, gdyby Rufus wygrzewał się na dywanie?

– Jeśli chce pani, żebyśmy wszczęli śledztwo, musi pani pojechać z nami na komisariat – powiedział policjant w okularach przeciwsłonecznych, ten, który wyglądał na znużonego. Choć ze wszystkich sił starał się być miły. Z rodziną Ivesów, jak z pewnością mu powiedziano, należało się liczyć.

Kristina pokręciła głową.

– Sama nie wiem. Gdyby tylko Geoff... – urwała. – Mój mąż ma teraz spotkanie – wyjaśniła.

Ojciec Gemmy zawsze był na jakimś spotkaniu, w samochodzie albo samolocie.

– Jak dostali się do środka? – spytała Gemma.

Brama wejściowa otwierała się na kod. Wszyscy goście musieli dzwonić. Château Ives przypominał pod tym względem Fort Knox.

Kristina oblała się rumieńcem. Nawet z czerwoną twarzą wyglądała ładnie. Gemma przez lata próbowała odnaleźć w sobie śliczną twarz modelki swojej mamy, jej wysokie kości policzkowe i szczupłe nadgarstki. Ale jedyne podobieństwo odnalazła w sposobie marszczenia brwi.

– Cały dzień przychodzili dostawcy w związku z niedzielną wystawą koni – powiedziała, częściowo do Gemmy, częściowo do policjanta. – Kwiaciarze, planista... Zostawiłam bramę otwartą, żeby ciągle nie dzwonili.

Czytaj: „Łyknęłam klonopin, popiłam kieliszkiem wina i uciełam sobie drzemkę”. Jej rodzice rzadko mówili dokładnie to, co mieli na myśli, dlatego Gemma stała się biegłą w tłumaczeniu tego, co mówią.

– Finke, rzuć na to okiem. – Kolejny policjant wbiegł truchtem przez frontowe drzwi. On także miał założone nylonowe rękawiczki, a między palcem wskazującym i środkowym trzymał liścik zapisany na kawałku papieru. – To było załączone do przesyłki specjalnej.

Znudzony policjant przesunął okulary na czubek głowy i przeczytał, nawet nie sięgając po wiadomość. Była krótka, ale Gemma poczuła, jak w jej sercu narasta gniew, zagłuszając inne uczucia.

jesteś horym potworem zasugujesz na śmierć

Kristina jęknęła, jak gdyby dosłownie dostała w twarz. Gdy Finke kiwnął głową, drugi mężczyzna cofnął się i ostrożnie włożył notatkę do foliowej torebki. Gemmie stanęła przed oczami wizja, jak aresztują Chloe, wyobraziła sobie jej ręce wykręcone z tyłu i przyciśniętą do dachu radiowozu twarz. Wyobraziła sobie, jak pakują ją na resztę życia do jednej celi z wyrośniętą morderczynią o ksywie Księżniczka.

Wyobraziła sobie, jak zaciska dłonie na szyi Chloe i patrzy, jak jej głowa opada.

– Chyba... chyba lepiej, żebym poszła z wami – powiedziała Kristina. Rumieniec zniknął. Była blada i zakłopotana. – Kto mógłby zrobić coś takiego? Kto mógłby być tak okropny?

– Czy pani albo pani mąż mieli ostatnio jakieś problemy? – zapytał Finke. – Jakies kłótnie? Kłopoty prawne?

Kristina pokręciła głową.

– Żadnych innych wiadomości ani telefonów z pogroźkami?

Znowu pokręciła głową.

– Po prostu nie mogę sobie wyobrazić...

– Mamo, zaczekaj. – Gemmę mdliło od wypowiedzianych w myślach słów. „To moja wina. To przez to, że wszyscy uważają mnie za dziwoląga”.

Mama wiedziała, że w szkole nie jest jej łatwo, ale jej współczucie sprawiało, że Gemma czuła się tylko gorzej. Jediną rzeczą bardziej bolesną od bycia szkolnym popychadłem okazało się bycie szkolnym popychadłem, a zarazem córką niegdysiejszej szkolnej gwiazdy. Wzięła głęboki oddech.

– Ja wiem.

– Co?

– Wiem, kto to zrobił. – Teraz wszyscy policjanci patrzyli na nią, wydawało jej się, że z litością. Poczowała, jak policzki jej płoną, i była absolutnie pewna, że nie wygląda tak ładnie jak mama. Kiedy Gemma się rumieniła, wyglądała, jak gdyby dwa barwniki starały się udusić nawzajem pod jej skórą. – Taka jedna głupia dziewczyna ze szkoły. Pewnie myślała, że to będzie zabawne.

Czy to jej wyobraźnia, czy na ułamek sekundy na twarzy mamy pojawił się wyraz ulgi?

– Och, kochanie – powiedziała i chciała objąć Gemmę, ale ta się odsunęła.

– W porządku. Nic mi nie jest.

– Czy wciąż chce pani złożyć skargę? – zapytał Finke, ale Gemma domyśliła się, że już nie uważa tego za dobry pomysł.

Cała atmosfera się zmieniła. Nikt na nią nie patrzył. Policjanci pakowali się nerwowo, chcieli wrócić do ważniejszych spraw niż upokorzenie towarzyskie jakiejś nastolatki. Może byli źli z tego powodu, że ich tutaj ściągnięto.

– To zależy od ciebie, groszku. – Kristina przejechała ręką po włosach Gemmy. – Co o tym sądzisz?

Gemma pokręciła głową. Choć wizja Chloe w pomarańczowym więziennym kombinezonie była kusząca – z pewnością nawet ona nie wyglądałaby dobrze w więziennym oranżu – wiedziała, że jeśli rozdmucha tę sprawę, będzie jeszcze gorzej. Byłaby Frankensteinem-Beksą. Kosmitką-Kapusiem.

Nagle zachciało jej się wyć. Chloe wraz ze swoją zgrają wilczyc robiła wszystko, by uprzykrzyć jej życie przez ostatnie lata. Ale żeby zrobić coś tak podłego? Weszły do jej domu. Poświęciły

czas, by wypchać halloweenową maskę kamieniami, gruzem albo może metalowymi odłamkami ze swoich mechanicznych serc. Napisały, że zasługuje na śmierć. Dlaczego? Co takiego im zrobiła?

Była kosmitką wyrzuconą na nieprzyjazną planetę. Zagubioną bez nadziei.

– Jesteś pewna? – spytała Kristina, gładząc kciukiem twarz córki.

Gemma skrzywiła się i cofnęła o krok.

– Tak, jestem pewna – potwierdziła.

– Okej. – Kristina odetchnęła głęboko i posłała Finkemu słaby uśmiech. – Przepraszam za kłopoty. Wiecie, jakie są nastolatki.

– Mhm – mruknął Finke, co nie pozostawiało wątpliwości, że tego nie wie ani nie ma ochoty się dowiadywać.

Gemma chciała od razu uciec do swojego pokoju, najlepiej na zawsze, ale Kristina otoczyła ją ramieniem. Jak na taką szczupłą kobietę była zaskakująco silna i przez chwilę trzymała Gemmę w śmiertelnym uścisku.

– Tak mi przykro, kochanie. Dlaczego nie powiedziałaś, że masz problemy w szkole?

Gemma wzruszyła ramionami.

– To nic takiego.

Kristina pachniała, jak zawsze, wodą różaną i bardzo drogimi perfumami. Tak drogimi, że właściwie roztracały woń świeżo wydrukowanych banknotów.

– Wolałabym nie martwić taty, a ty? – Uśmiechnęła się, ale Gemma zobaczyła w jej spojrzeniu niepokój, odczytała słowa, których mama nigdy by nie powiedziała: „Nie chcę, żeby uważał cię za jeszcze większe rozczarowanie niż teraz”. – Powiemy mu, że to był wypadek. Jakiś dzieciak grał w bejsbol. Coś w tym stylu.

Żeby dorzucić piłkę bejsbolową z ulicy do okna w salonie, jakiś dzieciak musiałby być najlepszym graczem z pierwszoligowej drużyny. Zazwyczaj skłonność rodziców do kłamstw w sprawach małych i dużych niepokoiła Gemmę. Jeśli byli tak świetni

w wymyślaniu różnych historii, czy mogła kiedykolwiek mieć pewność, że mówią prawdę?

Ale dzisiaj bardzo jej to odpowiadało.

– Bejsbol – powiedziała. – Jasne.

Gemma obudziła się w środku nocy z koszmaru, który na szczęście wyleciał jej z głowy, gdy tylko otworzyła oczy. Został w pamięci zaledwie lekkie wrażenie twardych rąk i posmak metalu. W korytarzu skomlał Rufus.

– O co chodzi? – spytała, gramoląc się z łóżka.

Kiedy otworzyła mu drzwi, dobiegły ją podniesione głosy nachodzące na siebie, a po nich gniewna interpunkcja ciszy. Jej rodzice się kłócili.

– Już dobrze – wyszeptala do Rufusa, przesuając ręką po jego futrzanym karku.

Na kłótnie reagował jak dziecko. Od razu przemknął obok niej, wskoczył na pościel i schował głowę w stos poduszek, jak gdyby chciał wytłumić odgłosy z dołu.

Wróciłaby do łóżka, ale dokładnie w tej samej chwili głos jej ojca podniósł się na tyle, że wyraźnie usłyszała słowa:

– Frankenstein. Na litość boską. Dlaczego mi nie powiedziałeś?

Wyszła na korytarz, wdzięczna za pluszowy dywan, który tłumiał odgłos jej kroków. Szybko minęła obite boazerią ściany, na których światło księżycy układało się w szachownicę, pokoje gościnne, w których nigdy nie mieszkali żadni goście, i marmurowe łazienki, z których nikt nie korzystał, aż dotarła do schodów. Hol na dole przecinał prostokąt światła. Drzwi gabinetu ojca były otwarte. Na widok sceny w środku Gemma osłupiała. Jej matka siedziała na krawędzi skórzanej otomany, z bladą, umęczoną twarzą i rękami skrzyżowanymi w pasie, by nie rozsunał jej się szlafrok. Gemma nigdy, przenigdy nie widziała w gabinecie ojca nikogo poza nim samym. Zakładała, że nikt inny nie ma do niego wstępu.

– Próbowałam się do ciebie dodzwonić... – Głos mamy był słaby i niewyraźny, jakby bełkotała.

Pewnie było po północy. Musiał ją wyrwać ze snu, ale najwyraźniej środki nasenne wciąż działały.

– By wcisnąć mi jakąś głupią historyjkę. Musiałem się dowiedzieć o wszystkim od Franka. Dzięki Bogu, że chociaż w policji ktoś mnie szanuje.

Gemie stanęło serce. To było naiwne wierzyć, że uda im się ukryć prawdę przed ojcem. Miał znajomości wszędzie – w policji, a nawet w rządzie, chociaż jego najważniejsze kontakty były tajne. Był współzałożycielem szóstej największej firmy farmaceutycznej w kraju, Fine & Ives, która produkowała wszystko, od szamponów przez środki na serce po leki dla żołnierzy cierpiących na zespół stresu pourazowego. Chociaż został usunięty z rady własnej firmy po brutalnej trzyletniej batalii sądowej, kiedy Gemma była mała – nigdy nie poznała szczegółów, ale wiedziała, że tata nie pochwalał tego, gdzie jego firma lokowała pieniądze – wciąż podróżował z osobistym ochroniarzem i co kwartał jeździł do Waszyngtonu, by spotykać się tam z politykami, lobbystami i ludźmi z najwyższych szczebli władzy.

Gemie często nachodził strach, że nigdy, przenigdy nie wyrwie się spod kontroli rodziców – nawet gdy pojedzie na studia, nawet jeśli wyprowadzi się jak najdalej od Chapel Hill i założy własną rodzinę. Zawsze ją znajdą. Zawsze będą w stanie ją dojrzeć, gdziekolwiek się schowa.

– Ależ ja cię szanuję – zaprotestowała Kristina i Gemma poczuła nagle, jakby się dusiła, jakby ktoś zaciskał rękę na jej szyi.

Jej ojciec był dwanaście lat starszy od matki. On i jego brat bliźniak Ted studiowali w West Point, akademii wojskowej, tak jak przedtem ich ojciec. Geoffrey miał zostać strategiem wojskowym i nigdy nie pozwolił nikomu – a już na pewno nie Gemmie ani jej mamie – o tym zapomnieć. Szacunek. To był refren, który stale przewijał się w ich życiu. Szacunek. Mogłaby chyba

napisać całą książkę o szacunku, dyscyplinie, porządku i pracy. Może nawet całą serię książek.

Swoją drogą to, co sam wiedział o akceptacji i tolerancji oraz o własnej córce, zmieściłoby się w krótkim esemesie.

Czasami Gemma zastanawiała się, jak to możliwe, że mieli te same geny. Jej ojciec był kościsty i zimny wszędzie tam, gdzie ona była ciepła, miękka i delikatna. Ale dowody okazały się nie do podważenia. Wolałaby sto razy bardziej wyglądać jak mama. Zamiast tego miała piwne oczy ojca, jego kwadratowy podbródek oraz ten sam uśmiech, przy którym kąciki ust wędrowały w dół, jakby żadne z nich nie nauczyło się poprawnie uśmiechać.

– Nie chciałam cię martwić – ciągnęła mama. – Gemma powiedziała, że to był tylko głupi żart. Jakież dziewczyny w szkole uwzięły się na nią i...

– Głupi żart, Kristino? Czy ty jesteś ślepa? To nie był żart. To była wiadomość. Wiesz, kim był Frankenstein?

– Jasne, że wiem...

– Frankenstein był naukowcem. W oryginalnej opowieści, w jej prawdziwej wersji, to on stworzył potwora. – Nastąpiła długa chwila ciszy. Gemma czuła, jak jej serce bije boleśnie, spuchnięte i posiniaczone. – To była wiadomość dla mnie.

„To on stworzył potwora”.

„To była wiadomość dla mnie”.

Starła się kochać ojca. Starła się wierzyć, że i on ją kocha, bo tak twierdziła jej matka. Usprawiedliwiała go tymi samymi słowami, którymi Kristina usprawiedliwiała go wobec niej. Że nie potrafi wyrażać uczuć. Że ma w pracy dużo stresów. Że nie dostał zbyt wiele miłości od własnego ojca.

Ale gdzieś głęboko w środku Gemma zawsze podejrzewała, że powód, dla którego ojciec jej unikał, powód, dla którego ledwie był w stanie na nią patrzeć, powód, dla którego trzymał jej wszystkie zdjęcia z niemowlęctwa w szufladach, zamiast z dumą wystawiać je w ramkach, powód, dla którego trudno mu było rozmawiać z nią bez utraty panowania nad sobą, jak gdyby zawsze

pląciła za jakąś popełnioną przez siebie zbrodnię, choć nie była jej świadoma – był dużo prostszy.

Nie mógł jej znieść.

Była dla niego rozczarowaniem. Wadliwym modelem, ale niestety takim, którego nie da się wymienić ani zwrócić.

Matka powiedziała coś jeszcze, coś, czego Gemma nie dośłyszała. W jej uszach rozległo się brzęczenie, jak gdyby szalał w niej rój pszczół. Miała ochotę odwrócić się i rzucić do ucieczki, znaleźć z powrotem w swojej sypialni, obudzić się i uświadomić sobie, że to był tylko sen. Ale nie mogła się ruszyć.

– W Haven doszło do naruszenia bezpieczeństwa – powiedział ojciec.

– To znaczy?

– Najwyraźniej któreś z nich uciekło – wyjaśnił.

Nastąpiła chwila ciszy.

– Przecież i tak nie przeżyje. Nie ma na to szans. Prądy przy wyspie...

– A jeśli tak? Jezu, Kristino. Wyobrażasz to sobie? Wyobrażasz sobie, jaką burzę rozpęta ta historia, gdy ujrzy światło dzienne? Nie dadzą nam spokoju. Zniszczą nas.

– Nikt się nie dowie, co zrobiliśmy – odparła matka piskliwym głosem. – Bo niby jak?

Ojciec roześmiał się gorzko i szyderczo.

– Są na to sposoby, uwierz mi. Wystarczy podążać za pieniędzmi.

– Ale zostawiłeś Fine & Ives właśnie z tego powodu. Odmówił eś wzięcia udziału...

– To był spóźniony krok. I niewystarczający. Wiedziałem, co planował Saperstein. Wiedziałem, na co pójdą dalsze środki.

Gemma nie była w stanie już dłużej podążać za wątkiem rozmowy. Stała bez ruchu, trzymając się kurczowo poręczy, jakby chciała w nią wcisnąć narastający w środku krzyk. Widziała, jak matka miętosi rąbek szlafroka, a ojciec przechadza się po pokoju, choć co chwila znikał jej z pola widzenia. Pod tym kątem nie mogła dojrzeć jego twarzy – co było w tej sytuacji drobnym błogosławieństwem.

Po chwili odezwał się znowu:

– Bowling Springs znajduje się jedynie osiemdziesiąt kilometrów od Haven.

Matka Gemmy podniosła wzrok. Była bardzo blada, a jej oczy wyglądały jak dwie jamy.

– Nie – powiedziała. Gemma nie wierzyła własnym uszom. Nigdy nie słyszała, żeby mama sprzeciwiła się tacie w czymkolwiek. – Nie możesz tego zrobić. Gemma od dawna żyje tą wycieczką. April tak samo. I co ja powiem jej rodzicom?

– Nie obchodzi mnie, co im powiesz. To nie jest bezpieczne. Nie po tym, co się dzisiaj wydarzyło. Osiemdziesiąt kilometrów, Kristino.

Gemma miała wrażenie, że ktoś wypełnił jej pierś mokrym cementem. Nie mogła oddychać.

– Ależ Geoff. Osiemdziesiąt kilometrów to całkiem sporo. Chyba nie wierzysz...

– Ja nie wierzę, Kristino. Ja wiem. – Przyskoczył do niej, a ona cofnęła się przed nim. Gemma poczuła, jak zalewa ją nagła fala nienawiści do ojca, silniejsza niż cokolwiek, czego doświadczyła w życiu. Przez jedną straszną chwilę życzyła mu, żeby umarł powalony jakąś niewidzialną siłą. Ale to było zbyt okrutne. Zamiast tego życzyła mu więc, żeby po prostu zniknął. Pyk. Jak gdyby nigdy nie istniał. – Ci wariaci okupują plażę od miesięcy. W zeszłym tygodniu zaatakowali jedną z sanitariuszek idącą na prom.

– Ale sam mówisz, że to wariaci. Nikt im nie wierzy. Poza tym co oni wiedzą? Połowa z nich uważa, że Haven zamieszkują wampiry, na litość boską. Wkrótce się znudzą i znajdą sobie jakiś nowy temat. I co to ma wspólnego z Gemmą? Przecież nikt nie wie...

– Ktoś n a p e w n o wie – przerwał jej. – Właśnie w tym rzecz. Nie wysłę jej w sam środek takiej zawieruchy. Może wyjechać na przerwę wiosenną w przyszłym roku.

Gemma otworzyła usta i wydała z siebie przeciągły, niemy krzyk. Wyobraziła sobie, jak ten dźwięk roztrzaskuje żyrandol,

wysadza szyby, rozbija w drobny mak bezcenną kolekcję zabytkowej porcelany należącą do jej ojca.

– W porządku. – Kristina wstała, chwiejąc się na nogach.

Gemma nie potrafiła stwierdzić, czy był to wciąż rezultat działania tabletek nasennych czy też skutek fizycznego wysiłku przeciwstawienia się wielkiemu Geoffreyowi Ivesowi.

– Ale to ty jej to powiesz. To jej złamie serce, a ja tego nie zrobię.

– W porządku – odparł ojciec, a wtedy, ku przerażeniu Gemmy, otworzył szeroko drzwi i wszedł do holu.

Odwróciła się szybko i cofnęła do korytarza, a serce biło jej w rytmie słów „To nie fair, to nie fair”. Gdy już znalazła się w swoim pokoju, odsunęła Rufusa na bok, weszła pod kołdrę i zakryła głowę poduszką, jak gdyby chciała się odgradzić od tego, czego przed chwilą była świadkiem. Czekwała w napięciu, czy usłyszy pod drzwiami kroki ojca. Jak teraz na niego spojrzeć? Jak kiedykolwiek będzie w stanie na niego spojrzeć?

Ale minuty mijały, a on nie nadchodził i napięcie w jej ciele powoli zostało zastąpione przez ciężkie wrażenie, że leży na samym dnie jakiejś jamy. Wypełniało ją dręczące poczucie niesprawiedliwości, gniewu i buzującego smutku. To nie fair. Nie rozumiała połowy z tego, o czym rozmawiali rodzice. Czy to Haven, czyli przystań, o którym mówili, oznaczało nazwę własną czy po prostu jakiś mały port? Wiedziała tylko tyle, że znowu znalazła się w pułapce. To nie fair. Była jak owad w ręce swojego ojca. Może sprawiało mu przyjemność ściskanie jej i patrzeć, jak się szamoce.

Nie sądziła, że jeszcze kiedykolwiek zaśnie. Ale w końcu usnęła, parę godzin później, gdy światło w jej pokoju przybrało kolor ciemnej kredy. A gdy się obudziła, okazało się, że ojca wezwano w interesach do Szanghaju, więc to jednak matka musiała przekazać jej smutną wiadomość.

W piątek nie poszła do szkoły. Oznajmiła, że jest chora, a mama nawet nie zapytała, co jej dolega – znak, że wiedziała, iż Gemma udaje.

Cieszyła się, że ojciec znowu wyjechał. Cieszyła się, że dzieli ich kilka stref czasowych i ogromny ocean. Nie byłaby w stanie stanąć z nim oko w oko. Jesliby do tego doszło, pewnie naplułaby mu w twarz albo kopnęła go w goleń, albo wreszcie powiedziała coś, co leżało jej na sercu przez szesnaście lat.

Wspaniały Geoffrey Ives, współzałożyciel Fine & Ives Pharmaceuticals, Pan Wszechświata, totalny dupek.

April zadzwoniła do niej w czasie przerwy wychowawczej, beużytecznego kwadransa między drugą a trzecią lekcją, kiedy uczniów przedostatnich klas łączono w jedną grupę i zmuszano do słuchania ogłoszeń o meczach koszykówki, studniówce i Tygodniu Tolerancji.

Gdy po trzecim razie Gemma nie odebrała, April przerzuciła się na esemesy. Wysłała też na telefon przyjaciółki selfie z groźną miną. *Co się dzieje, do cholery? Wszystko w porządku?*

Gemma poczuła, jak budzi się w niej złośliwe pragnienie, by zadać ból, ponieważ i jej go zadano. Może właśnie tak czuły się Chloe i wilczyce – może kiedyś w ich życiu ktoś je zranił, chciał je skrzywdzić. *Nie*, odpisała. A potem: *Nie jadę jutro.*

Pomiędzy wiadomościami nastąpiła pięciominutowa cisza. Gemma nie miała pewności, czy April była w takim szoku, czy akurat udawała, że słucha wychowawcy.

Jej następna wiadomość brzmiała: *Żartujesz, prawda?*

Mogła jej wszystko wyjaśnić w esemesie. A jeszcze lepiej: mogła zadzwonić. Widziała nawet oczyma wyobraźni, jak April wsuwa telefon do kieszeni, a potem biegnie do najbliższej kabiny w toalecie, jak przysiada z kolanami przy piersi na klapie od ubikacji i przyciska komórkę do ucha, podczas gdy Gemma szlocha do słuchawki. Mogła opowiedzieć o wybitej szybie, o okropnych słowach ojca: „To była wiadomość dla mnie”. Ziściło się najgorsze: jej paniczne lęki, dziwny strach, który zawsze ją zżerał. Ojciec jej nienawidził. Gemma może kiedyś wyjedzie, ale nigdy nie ucieknie – nie od niego, nie od tej prawdy, nigdy nie do końca.

Tyle że ona już się wypłakała – obudziła się nawet z pieczeniem w gardle i smakiem soli na ustach i zdała sobie sprawę, że płakała przez sen – i dzisiaj nie czuła już nic oprócz dziwnego falującego uczucia pustki, jak gdyby była odciętym od sznurka balonem powoli odpływającym w nicość. Zastanawiała się, czy tak czuła się jej mama, gdy brała swoje leki.

Więc tylko odpisała: *Nie, nie żartowałam.*

A po chwili dodała: *Przykro mi.*

Po tym jej telefon zamilkł.

Przez pierwsze dwa dni przerwy wiosennej Gemma nic nie robiła. Oglądała telewizję na komputerze, jak leci, nawet nie zdając sobie sprawy z tego, co ogląda. Wlokła się na dół, by podgrzać w mikrofalni dania, których spożywania nie pochwałał jej tata, takie jak paszteciki z pudełka, mrożony makaron z serem, do którego zakupu przekonała Bernice, ich gospodynię, czy chińskie jedzenie na wynos, tajemniczo zmaterializowane w lodówce. Raz zabrała Rufusa do ogrodu i stała w piżamie, mrużąc oczy w słońcu, podczas gdy on biegał wokół Danny'ego, jednego

z ogrodników (przynajmniej wydawało jej się, że tak miał na imię, ale przecież było ich tyłu...), który sunął powoli na ogromnej kosiarce do trawy jak kapitan statku po morzu zieleni.

Mama normalnie zasypywałaby Gemmę pytaniami, proponowałaby lunch w klubie albo wspólny wypad na manicure i pedicure – wszystkie aktywności, których Gemma nienawidziła – ale tym razem zostawiła ją w spokoju. Były jak dwa płatki śniegu dryfujące przez ogromny biały dom, zamknięte we własnych bańkach bólu i nieszczęścia.

Wszystko to, pomyślała, było winą ojca, a dokładnie jego zasad. Jego domu. Jego ścian, białych i ogromnych, ozdobionych błyszczącymi ramami i żyrandolami, tak pięknymi, że ktoś w środku mógłby się nie zorientować, że jest w pułapce. A nawet, jak zdała sobie sprawę, była to też wina pigułek jej ojca. Nigdy wcześniej nie myślała o tym, że pewnie to jego dawna firma produkowała leki, które masowo łykała jej mama, żeby zasnąć, żeby nic jej się nie śniło i żeby kolejnego dnia się dobudzić.

W chwili szczerości wobec samej siebie uświadomiła sobie, że niewielka część niej – no dobrze, może całkiem spora część – miała nadzieję, że jeśli ona nie jedzie na Florydę, to April też nie pojedzie. I wiedziała, że jeśli by wyznała przyjaciółce prawdę, ta by została – nie miałyby nic przeciwko temu, żeby spędzić przerwę wiosenną na oglądaniu kiepskich programów w telewizji albo nauce choreografii z głupawych teledysków na YouTube. To była jej wina, co sprawiło, że czuła się podła, głupia i mała. Ale to, że April jednak pojechała, sprawiło, że czuła się podła, głupia i mała – a do tego opuszczona.

Nurzała się we własnym nieszczęściu i siedziała w nim aż po same uszy.

Trzeciego dnia przerwy wiosennej Gemma obudziła się i poczuła rozpaczliwe, nagłe pragnienie, by się ruszyć, by coś zrobić. April była w domu dziadków od całych trzydziestu sześciu godzin. Wiedziała to, ponieważ gdy jej żaloszność osiągnęła apogeum, załogowała się na konto April na iTunes i użyła opcji „Znajdź mój

telefon”, by śledzić jej postępy w drodze na wybrzeże – wymieniły się hasłami dawno temu, tak by mogły się odnaleźć, jeśliby rozdzieliła je apokalipsa urządzona przez zombie, oczywiście o ile wi-fi ciągle by działało. Bez wątplenia April pracowała już nad opalenizną i skanowała wzrokiem przystojniaków – żyjących w nieświadomości, że jest kosmitką – z którymi pewnie flirtowała.

Wiedziała, że April musiała się już dowiedzieć o masce Frankensteina – a przynajmniej poznała wersję tej historii przefiltrowaną przez rodziców – i żałowała, że nie mogą o tym porozmawiać. Dlaczego ta maska tak bardzo przeraziła ojca? Żałowała też, że nie przysłuchiwała się dokładnie tamtej nocnej rozmowie. Teraz wydawała się ona jak sen. Nie pamiętała szczegółów, tylko wzmiankę o miejscu zwanym Haven – nazwę, którą mgliście kojarzyła z dzieciństwa. Może był to jakiś szpital. Może jedna z firm, w której zarządzie zasiadał jej ojciec. Doradzał wielu korporacjom, a wszystkie miały nowoczesnie brzmiące nazwy typu NeoTech, Amalgam czy Complete Solutions.

Tęsknota za April wydawała się jak dziura w brzuchu. Jak bóle menstruacyjne, jak gdyby była spuchnięta i posiniaczona, tyle że od środka. Gemma nie sądziła, by była lesbijką (choć trudno cokolwiek stwierdzić na sto procent, skoro całowała się jedynie z poduszką w celach ćwiczebnych, a w momentach całkowitej, delirycznej głupoty zrobiła próbną laskę ogórkowi), ale to nie powstrzymywało jej od tego, by być szaleńczo zakochaną w swojej najlepszej przyjaciółce.

Wysłała jej zdjęcie jednego ze swoich najstarszych pluszaków: ośmiornicy, której brakowało dwóch ramion z powodu wściekłego apetytu Rufusa na wszystko, co wypchane. Była ulubienicą April. *Tęsknię za Tobą! Mam nadzieję, że dobrze się bawisz!*, napisała, a potem zostawiła telefon na łóżku, zakopany pod poduszką, na wypadek gdyby April ciągle była wściekła i nie odpisała. Poza tym nie chciała, by mama dzwoniła do niej co pięć sekund.

Wyjście z domu nie stanowiło problemu. Pora wciąż była wczesna, a jej mama była pewnie na spinningu. Opuszczenie

terenu posiadłości okazywało się już nieco większym problemem, ponieważ: a) nie miała samochodu i b) nie miała prawa jazdy. Założyła smycz Rufusowi. Zaliczyli krótki spacer po podjeździe, minęli Danny'ego, który dzisiaj przycinał żywopłot, wyszli za bramę i wsiedli do autobusu przejeżdżającego obok uniwersytetu i Franklin Street, przy której znajdowały się bary i kafejki oraz uczelniana księgarnia. Rufus, przeszczęśliwy, cały czas siedział na siedzeniu obok Gemmy, jak człowiek, z nosem przyciśniętym do szyby.

Dzień był cudowny. Szła Franklin Street, oglądała sklepowe wystawy i zastanawiała się, czy czegoś nie kupić. Miasto wydawało się nieco opustoszałe: studenci także mieli wolne aż do poniedziałku. Ciągle wyobrażała sobie widma swoich kolegów z klasy, jak przemykają obok niej po pustych ulicach, podczas gdy tak naprawdę byli ponad sześćset kilometrów stąd, gdzie smarowali się kremem przeciwsłonecznym albo popijali tequilę na śniadanie.

Właśnie skręciła w Rosemary Street i zastanawiała się, czy nie wstąpić do Mama Dip's po kukurydziane ciasteczka, chociaż wcale nie była głodna, kiedy nagle poczuła dziwny niepokój w żołądku, jak gdyby nieoczekiwanie znalazła się na krawędzi klifu.

Ktoś ją obserwował.

Gdyby było ciemno, a ona byłaby tu sama, pewnie przerażenie nie pozwoliłoby jej się odwrócić. Ale stała między gabinetem ortodonta, w którym zakładano jej aparat na zęby i który potem odwiedzała przez trzy lata, a małą stacją benzynową, gdzie sprzedawano pocztówki reklamujące rozliczne uroki Karoliny Północnej. Odwróciła się więc, chociaż strach zżerał ją od środka.

Kamień spadł jej z serca. Nikogo podejrzanego. Jakiś facet utyskujący na mandat za parkowanie zatknięty za wycieraczkę samochodu i grupa kobiet, z których dwie rozpoznała jako koleżanki mamy z zajęć jogi, stojących przed Mama Dip's. Patti Winters, matka okropnej dziewczyny z klasy, której nieskończone próby zdobycia popularności oznaczały, że traktowała Gemmę jak słabe ogniwo do pożarcia dla dobra całego plemienia, podniosła

wzrok i złowiła spojrzenie Gemmy, po czym pomachała do niej i ruszyła w jej stronę przez ulicę.

Dziewczyna odwróciła się na pięcie, udając, że jej nie zauważyła, i szybkim krokiem przecięła parking stacji benzynowej. Przywiązała Rufusa do znaku wskazującego miejsce parkingowe dla inwalidów i weszła do Quick-Martu, gdzie schowała się za stojakiem z tanimi plastikowymi okularami przeciwsłonecznymi. Pete Rogers, znany także jako Zbok Rogers (dorobił się tej ksywki w trzeciej klasie, kiedy na wycieczce szkolnej ukradł majtki z torby podróżnej Chloe), obserwował ją zza lady.

Po piętnastu sekundach Gemma poczuła się jak idiotka i znowu ogarnęła ją potworna tęsknota za April. Ciągle była w trybie szkolnym, w trybie ofiary. Jak uciekający królik. Ale przecież koleżanki mamy nie będą jej tropić ani nie przyprą do muru pytaniami, dlaczego podczas przerwy wiosennej siedzi w domu i gdzie są jej wszyscy przyjaciele. Kupiła czerwone okulary przeciwsłoneczne z oprawkami w kształcie serduszek, ponieważ nie chciała, by ktoś pomyślał, że się tu ukrywa – choć oczywiście się ukrywała.

– Fajna stylówka – skomentował Zbok zboczonym tonem.

Gemma spojrzała na niego krzywo.

Na parkingu nikt na nią nie czekał. Patti Winters poszła sobie już dawno temu. Rufus leżał na chodniku z językiem wywalonym od upału.

Mimo to, gdy ruszyli w stronę ulicy, znowu ogarnęło ją to niepokojące wrażenie, jak gdyby ktoś szeptał za jej plecami coś paskudnego, nieco za cicho, by to usłyszała. Facet, który dostał wcześniej mandat za parkowanie, teraz tankował – jego stary paskudny chevrolet stał krzywo przy dystrybutorze. Ich spojrzenia skrzyżowały się na chwilę i mężczyzna otworzył usta, jak gdyby chciał jej coś powiedzieć.

Była już blisko niego, kiedy nagle jej mózg zaskoczył, wszystkie trybiki weszły na miejsce i uświadomiła sobie, że facet wcale nie tankuje – samochód nie był nawet podłączony do

dystrybutora – i że wcale nie spojrział na nią przypadkiem. On ją obserwował.

On ją śledził.

To wszystkim dotarło do niej w momencie, gdy go mijala. Złapał ją za nadgarstek i przyciągnął do siebie ruchem nieznacznym, ale zdecydowanym, wskutek czego wypuściła smycz Rufusa. Pies stał przy niej cierpliwie i machał ogonem. Gemmę dosłownie zamurowało i nie była w stanie wydobyć z siebie głosu, mężczyzna zaś przyciągnął ją do siebie i przez chwilę miała jego twarz tak blisko swojej, że widziała każdy z czarnych porów rozsianych na nosie i pot perlący się nad górną wargą.

– Gem – odezwał się. Jego oddech śmierdział kawą i starą, zatechłą szafą. Włosy miał długie i tłustawe. – Posłuchaj mnie. Nie chcę żadnych problemów.

Jej umysł pracował zrywami, wytwarzając oderwane od siebie obrazy i myśli. Musi go skądś znać. Bo niby skąd on znałby jej imię? Spojrzała na jego twarz, chudą i zapadniętą, poznaczoną starymi bliznami po trądziku i pokrytą kilkudniowym zarostem, i poczuła w gardle pieczenie, kiedy jej mózg wreszcie doszedł do ostatecznych wniosków.

Porwanie. Właśnie próbowano ją porwać.

Kolejne myśli i obrazy: żądanie okupu, zimna, wilgotna piwnica wyposażona w łańcuchy i dawne narzędzia tortur.

Jedną ręką otworzył drzwi samochodu, drugą zaś wciąż zaciskał na jej nadgarstku.

– Nie zrobię ci krzywdy, jasne? – Dyszał ciężko. – Musisz mi zaufać. Nic nam nie będzie. – Jak gdyby byli po tej samej stronie.

Rzuciła okiem na tylne siedzenie, gdzie poniewierały się puste puszki i pogniecione paragony, czapka bejsbolowa, reklamówki ze sklepu Party City oraz coś z ciemną szczecinią, co wyglądało jak wielki włochaty pająk – wtedy wreszcie odzyskała głos i krzyknęła. A przynajmniej się starała. To, co wydobyło się z jej gardła, było raczej zachrypniętym jękiem. Nawet jej struny głosowe zastygły z przerażenia. Na szczęście Rufus wreszcie zaczął szczekać.

autorka bestsellerowej serii Czzerwona Królowa

VICTORIA AVEYARD

Elektryzująca i aktualna książka,
przy której twój puls przyspieszy, a serce może
pęknąć z emocji. Dwie wielowymiarowe bohaterki,
dwie intrygujące zagadki, dwie splecione
ze sobą historie – a wszystko to połączone
w jedną zaskakującą powieść.

REPLIKA LIRA

LAUREN
OLIVER

NOWA POWIEŚĆ AUTORKI BESTSELLERÓW DELIRIUM I 7 RAZY DZIS